

Wielka wojna mitów, czyli jak ZSRR ukrywało prawdę o II wojnie światowej

IGOR T. MIECIK

NEWSWEEK: Panie profesorze, kroczy pan bardzo ryzykowną ścieżką, niczym saper wśród min. Pisze pan, że Związek Sowiecki w trakcie II wojny światowej stracił 43 miliony ludzi. To koszmar, jedna piąta całej ludności! Do tej pory rosyjscy historycy mówili o 20-26 milionach. Co gorsza, twierdzi pan, że podczas wojny w Armii Czerwonej nie było bohaterów.

BORYS SOKOŁOW: Nie twierdzą, że nie było bohaterów, a jedynie to, że my ich dziś nie znamy. Tych prawdziwych. Bo ci, których zna każde rosyjskie dziecko, których pomniki zdobią główne place naszych miast, to postaci albo całkowicie zmyślane, albo zmyślane zostały ich bohaterskie czyny. To kolosy wykute dłutem komunistycznych propagandystów. Co zaś do strat, przypomnę, że do lat 60. obowiązywała liczba 8-10 milionów ofiar. Później ZSRR przyznał się do owych 20. Wszystko po to, by ukryć prawdę o wojnie. Zrównoważyć jakoś straty rosyjskie z niemieckimi. Prawda zaś jest taka, że jeśli nie liczyć cywilów, straty na froncie wśród żołnierzy kształtowały się 1:10 na korzyść Wehrmachtu. Straty sowieckie były i są tabu, bo ujawnienie prawdy musiałoby pociągnąć za sobą konieczność wytłumaczenia, jak do tego mogło dojść, jak to w ogóle było możliwe. A to z kolei wymusiłoby napisanie historii wojny od nowa.



Od nowa? Wszak historia II wojny światowej wydaje się już w pełni opisana.

Proszę zwrócić uwagę, że dziś, 20 lat po pieriestrojce i głośności, po żmudnym wypełnianiu tzw. białych plam historii i odkłamywaniu, nikt przy zdrowych zmysłach już w Rosji nie neguje, że Stalin był mordercą i tyranem. Ale tylko do roku 1941 i znów od 1945 do dnia swojej śmierci. Na te przeszło trzy lata pomiędzy przeistacza się zaś w cudowny sposób w męża opatrnościowego ojczyzny i narodu. Te przeszło trzy lata niezwyklej metamorfozy dyktatora to czas wojny właśnie. To najprostszy, brutalny wręcz przykład tego, że historia II wojny światowej z pewnością jest dogłębnie zbadana i opisana, ale nie wojna, którą nazywamy wielką wojną ojczyźnianą, a więc konflikt między ZSRR a III Rzeszą rozpoczęty hitlerowską agresją z 22 czerwca 1941 r., a zakończony zdobyciem Berlina i kapitulacją Niemiec w maju 1945 r. W dodatku prawda o tej wojnie jest najgorzej znana w samej Rosji. To okres nie tylko nadal profesjonalnie niezbadany, ale przede wszystkim niewyobrażalnie zakłamanym i zmitologizowanym w czasach sowieckich. Te kłamstwa i mity wciąż funkcjonują nie tylko w masowej świadomości Rosjan, lecz także wypełniają łamy używanych dziś podręczników szkolnych i, o zgrozo, uniwersyteckich. Na dokładkę część

historyków zagranicznych, a zwłaszcza publicystów, powtarza bzdury z zafałszowanych źródeł rosyjskich.

Pan w książkach nie dotyka zapomnianych biografii, nieodkrytych dokumentów, pisze pan o sprawach kardynalnych, takich jak: sowieckie straty w ludziach, strategia Armii Czerwonej, kolaboracja na ziemiach okupowanych. To oznacza, że mity i zakłamanie, o których pan mówi, sięgają głęboko.

W Rosji po 20 latach od upadku komunizmu prawdziwa historia wielkiej wojny ojczyźnianej jest nieznana.

Jakie są więc największe kłamstwa, które zadomowiły się w rosyjskich podręcznikach?

Choćby przekonanie, że Armia Czerwona była bardziej profesjonalna i lepiej walczyła w drugiej połowie wojny niż w roku 1941.

Czyż nie była tego dowodem choćby operacja Bagration, błyskotliwe zwycięstwo Armii Czerwonej na Białorusi, które zepchnęło Niemców aż do linii Wisły, w wielkich kotłach zmiażdżyło całe korpusy i doprowadziło do fizycznej wręcz likwidacji całą niemiecką Grupę Armii Środek? Czy nie jest to przykład umiejętnie przyswojonej przez Armię Czerwoną strategii blitzkriegu, odrobiona lekcja, po której uczeń przerósł mistrza?

Nie. Operacja Bagration była możliwa tylko dzięki miazdżącej przewadze liczebnej Armii Czerwonej – w ludziach, czołgach, artylerii, samolotach. Nie byłoby też mowy o zwycięstwie, gdyby nie lądowanie aliantów w Normandii, które wymusiło wycofanie z Białorusi całego korpusu pancernego SS, i kilka faktów do dziś niedocenianych, jak choćby ostateczna przesiadka czerwonoarmistów z furmanek i archaicznych ZIS-5 i GAZ-AA na amerykańskie studebackery i kanadyjskie chevrolety. Na każdym filmie dokumentalnym, poczynając od roku 1944, te fantastyczne, niezawodne ciężarówki są wręcz symbolem Armii Czerwonej jak pepesza, jak gwiazdka na furażerze.

Więc to Amerykanie pokonali...

Bez przesady! Ale dochodzimy do dwóch kolejnych mitów. Pierwszy to teza, że anglo-amerykańska pomoc w ramach Lend-Lease miała dla zwycięstwa na wschodzie znaczenie marginalne, drugi, że marginalne było znaczenie otwarcia drugiego frontu i w ogóle wkładu zbrojnego aliantów. Do dziś w Rosji panuje przekonanie, że to Armia Czerwona zmiażdżyła Wehrmacht i że zmiażdżyłaby go tak czy inaczej.

Do dziś wykorzystywana jest przez historyków rosyjskich praca Nikołaja Wozniesińskiego „Ekonomika wojenna ZSRR w okresie wojny ojczyźnianej”, wydana w 1947 roku, gdzie pomoc materialna Zachodu w ramach Lend-Lease Act została całkowicie przemilczana. Wzmiankowano jedynie, że stanowiła 4 proc. wartości sowieckiej produkcji wojennej. W podręcznikach rosyjskich stoi, że cała aliancka pomoc to 2 proc. artylerii, 7 proc. czołgów, 13 proc. samolotów bojowych, niecałe 6 proc. samochodów. Te liczby nie szokują.

Nie są prawdziwe, bo w ZSRR zawyżano poziom produkcji własnej. Dane o sukcesach sowieckiej ekonomiki wojennej, które miały przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa, przez dziesięciolecia były argumentem propagandowym dowodzącym przewagi socjalizmu nad kapitalizmem. Spora część kłamstw utrzymała się na dobre. Weźmy choćby samochody. Jeśli policzyć uczciwie, okaże się, że dostawy zachodnie stanowiły nie 6 proc., ale ponad 32 proc. całkowitej wojennej produkcji sowieckiej, w przypadku zaś samolotów niemal 25 proc.

Gdyby nawet przytaczane przez pana liczby były prawdziwe, to mit obalają inne dane dotyczące towarów, które łatwo przemilczeć, bo nie jest to broń.

Czyli tuszonka, przysmak czerwonoarmistów, słynna amerykańska konserwa mięsna?

Chociażby. Dostawy tych konserw stanowiły prawie 20 proc. sowieckiej produkcji mięsa. Przede wszystkim jednak to surowce. Benzyna lotnicza. W 1941 r. produkcja rodzima pokrywała zaledwie 4 proc. zapotrzebowania. Dostawy alianckie to ponad 51 proc. benzyny lotniczej użytej w czasie wojny przez ZSRR, ponad 53 proc. prochu i materiałów wybuchowych. Metale kolorowe – pomoc z Zachodu – to 82 proc. miedzi, 90 proc. aluminium, 75 proc. niklu, 50 proc. ołowiu. Bez tych surowców przemysł wojenny stoi. Dalej: szyny kolejowe – 83 proc. produkcji wojennej ZSRR, opony i kauczuk – 43 proc., a jeszcze cukier, radiostacje, blachy pancerne, obrabiarki, lekarstwa...

Na koniec nie bez znaczenia jest fakt, że dostawy Lend-Lease podtrzymały opór sowiecki w najtrudniejszym 1942 roku, kiedy cały ogromny potencjał techniczny Armii Czerwonej sprzed 22 czerwca 1941 r., zwłaszcza broń pancerna i lotnictwo, już nie istniał, fabryki zdemontowane i ewakuowane na wschód dopiero wznawiały pracę lub przestawiały się na produkcję nowych modeli uzbrojenia. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że bez alianckich dostaw Związek Sowiecki nie wytrzymałby niemieckiego naporu.

Nikołaj Nikulin, który, co rzadkość, przestąpił w Armii Czerwonej całą wojnę, w wydanych niedawno w Polsce wspomnieniach opisuje koszmar frontu leningradzkiego. Nieustanne frontalne ataki mas piechoty na dobrze umocnione niemieckie punkty ogniowe. Píše, że kiedy wiosną 1942 r. stopniały śniegi, odsłoniły wzdłuż wciąż niezdojbytego nasypu kolejowego, gdzie bronili się Niemcy, góry trupów, z których kolejnych warstw można było odczytać, kiedy i kto szedł do ataku. Na dole rekruci z 1941 r. w letnich mundurach, dalej marynarze z Kronsztadu w czarnych kurtkach, leningradzcy z ochotniczych oddziałów w półcywilu, dalej w białych półkożuszkach zimowy szturm pułków syberyjskich i tak dalej Te frontalne ataki z „hura!!!” na ustach to z pewnością najlepszy przykład braku kunsztu wojennego Armii Czerwonej. Praktyka powszechna jeszcze w 1942 r. Ale czy później?

Nikulin leżałby na tej stercie, miesiąca by nie przeżył, gdyby służył jako piechur albo czołgista w pierwszej linii, a nie na tyłach w artylerii, a później jako radiotelegrafista. Nie przeżyłby także po roku 1942, bo bezsensowne szafowanie żołnierską krwią było w Armii Czerwonej normą, aż do zatknięcia czerwonego sztandaru nad Reichstagem. Tak, frontalny atak masą piechoty i czołgów to przykład typowy. Miałem okazję posłuchać wspomnień dowódcy batalionu, który podczas operacji berlińskiej nacierał na wzgórze Seelow.

Cały batalion szturmował tylko jeden niemiecki punkt umocniony. W ataku polegli wszyscy dowódcy kompanii i większość dowódców plutonów. Kiedy dowódca batalionu poderwał żołnierzy do ostatniego szturmu, z ponad 700 ludzi w batalionie zostało już tylko mniej niż 100. W decydującej chwili niemiecki cekaem zamilkł. Okazało się, że strzelec postradał zmysły. Nie zniósł widoku narastających przed schronem zwalów trupów.

Ale problem był szerszy niż wciąż powtarzane frontalne ataki. Brak kunsztu wojennego dowódców Armii Czerwonej przejawiał się w schematycznym działaniu, wybieraniu rozwiązań najprostszych, braku oryginalnych pomysłów, które mogłyby zaskoczyć przeciwnika. Do tego lęk przed podejmowaniem samodzielnych decyzji, braniem na siebie odpowiedzialności.

Podoficerowie, kręgosłup każdej armii, niczym nie różnili się od szeregowców, a w końcu sami szeregowi szli w bój wyprostowani, biegiem wprost przed siebie, bo nikt ich nawet nie

nauczył poruszać się do przodu skokami, kryć się, wykorzystywać ukształtowanie terenu. Wie pan co to takiego wrony?

Domyślam się, że nie chodzi panu o czarne ptaki.

Wronami nazywano mężczyzn naprędce mobilizowanych na wyzwolonych terenach. Uważano ich za element niepewny, który najlepiej jak najszybciej postać do walki. Broń Boże zostawiać na tyłach. Formowano więc z nich bataliony, które nie dostawały nawet mundurów, a karabin przypadał tylko tym z pierwszej linii, może jednemu na trzech. Reszta dostawała szpadle, saperki albo kije, prawdziwy oręż mieli zdobyć w boju, na nieprzyjacielu, lub podnieść po zabitych z pierwszego szeregu.

W rosyjskiej armii na porządku dziennym były frontalne szturm przynoszące niewyobrażalne straty w ludziach. Powodem tego były niskie kompetencje dowódców.

Ale dlaczego wrony?

Ze względu na cywilne łąchy. Żołnierze z osławionych karnych batalionów dostawali przynajmniej karabiny, po łódce amunicji i używane mundury, często zdjęte z trupów. Tylko gwiazdki na furazerce nie mieli prawa nosić. Ci zaś w zimowym przeważnie pejzażu Rosji w szarych paltach i marynarkach wyglądali jak wrony na śniegu.

A fachowcy, piloci, spadochroniarze, marynarze podwodniacy, kierowcy, mechanicy czołgów? Przecież jeszcze w połowie lat 30. Armia Czerwona zadziwiła zaproszonych zachodnich obserwatorów gigantycznymi manewrami z udziałem jednostek desantowych, które zrzucono z powietrza wraz ze wsparciem czołgów.

To było przed stalinowskimi czystkami w armii i przed gigantycznym napompowaniem Armii Czerwonej techniką, której nie miał kto obsługiwać, bo nie nadążano ze szkoleniem fachowców. Z biegiem wojny też było coraz gorzej. Uzupelnienia nie nadążały za stratami. Przed rozpoczęciem wojny nasi lotnicy mieli za sobą szkolenie pilotażu – 30 wylatanych godzin. Od połowy 1942 roku trafiali na front po zaliczeniu jedynie od 4 do 15 godzin. Świeżo upieczeni piloci niemieccy mieli na koncie 450 godzin szkolenia.

Nie przypadkiem przez ostatnie 18 miesięcy wojny, kiedy szkolenie Niemców skrócono do 150 godzin, Luftwaffe traktowała front wschodni jako przedłużenie poligonu. Wysyłano tam żółtodziobów, żeby się ostrzelali, doszkolili w bojowych już warunkach. Dopiero później przetrucano ich na zachód do walk nad Rzeszą z bardziej wymagającym przeciwnikiem, alianckimi wyprawami bombowymi. To w walce z aliantami Niemcy stracili dwie trzecie samolotów. Sowieccy spadochroniarze w czasie wojny wykonali jedną operację, która zakończyła się kompromitującą porażką. We wrześniu 1943 roku zrzucono dwie brygady spadochroniarzy z zadaniem pochycenia przyczółków na zachodnim brzegu Dniepru. Większość z nich wylądowała w rzece albo wprost na niemieckich pozycjach. Wyrzucano ich niemal do nogi. Dwie brygady!

Marynarka wojenna zdołała przeprowadzić zaledwie dwie jako tako udane bardziej skomplikowane operacje desantowe. Pierwsza to ewakuacja załogi oblężonego Sewastopola, druga – desant na półwyspie Kercz. Nie udało się zablokować ewakuacji Niemców z Krymu w maju 1944 r. ani zaopatrzenia i ewakuacji załóg Wehrmachtu z portów bałtyckich w latach 1944-1945. O masakrze radzieckiego konwoju cofającego się w 1941 r. z Tallinna do Leningradu aż wstyd wspominać. Wszystko to działo się w warunkach przytłaczającej przewagi floty radzieckiej, zarówno na Bałtyku, jak i Morzu Czarnym.

No dobrze, pozostaje więc indywidualne bohaterstwo sowieckiego człowieka. Taki Aleksander Matrosow, jego nazwisko do dziś zna każde rosyjskie dziecko. Jest w czytankach.

Propaganda wzywała czerwonoarmistów do niszczenia wroga nawet za cenę własnego życia. Takie są też scenariusze najbardziej znanych mitów. Weźmy trzy najbardziej znane: o panfilowcach, marynarzach z Sewastopola i Matrosowie właśnie. Panfilowcy z politykiem Wasilijem Kłoczkowem na czele to 28 bohaterów, którzy za cenę życia 25 z nich zniszczyli 20 czołgów. W rzeczywistości było ich 140, część zginęła, część się poddała, przy życiu zostało 28. Czołgów zniszczyli nie 20, tylko pięć. Cała prawda, którą szybko zatuszowano, wyszła na jaw podczas procesu człowieka, który okazał się jednym z panfilowców. Sądono go za kolaborację. W niewoli wstąpił do niemieckiej policji pomocniczej.

Marynarze z Sewastopola – pięciu, także pod wodzą polityka – mieli jesienią 1941 r. rzucić się pod niemieckie czołgi z wiązkami granatów i zniszczyć aż 15 maszyn. Pomijając trudność zniszczenia 15 czołgów przez pięciu samobójców, mit ten upada w konfrontacji z faktem, że siły rumuńsko-niemieckie, oblegające w październiku 1941 r. Sewastopol nie miały ani jednego czołgu. Nie miały nawet artyleryjskich ciągników mechanicznych, tylko tabor koński. Matrosow zaś stał się legendą, bo zasłonił własną pierśią gniazdo cekaemu. W rzeczywistości padł martwy na otwór wentylacyjny i niemiecka załoga przerwała ogień, próbując usunąć zwłoki. Ten moment wykorzystali pozostali szturmujący i podeszli tak blisko, że Niemcy musieli uciekać.

Taka rozprawa z mitami musi być dla pana rodaków bolesna.

Jestem historykiem, nie anestezjologiem. Rozprawa z mitem o Matrosowie nie znaczy, że nie mieliśmy bohaterów. Było ich wielu, tylko postaci w większości bezimienni, bo na cokoły trafili kamikadze. Da się ich odnaleźć, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

Gdzie?

W niemieckich archiwach. Niemcy zwykle odnotowywali np. fakt, że jakiś czołg radziecki zniszczył kilkanaście ich maszyn i zdołał się wycofać. Pomijając bełkot Hitlera o oporze do ostatniego żołnierza, w jednostka liniowych Wehrmachtu taki właśnie model bohaterstwa był promowany. Zniszczyć jak najwięcej sił wroga, ponosząc jak najmniejsze straty.

Najsmutniejsze jest to, że ze wszystkich mitów o wielkiej wojnie ojczyźnianej najbardziej odkłamany został ten dotyczący kolaboracji obywateli ZSRR z hitlerowcami. Smutne, dlatego że wiele publikacji czy filmów, zwłaszcza w internecie, wręcz gloryfikuje Andrieja Własowa i ludzi mu podobnych. Tam gdzie zamilkł komunizm, odzywa się nacjonalizm. Cóż, głosowi rozsądku, trzeźwej oceny i rzetelnych badań przebić się przez ten hałas jest najtrudniej. Przynajmniej w Rosji.

(wywiad ukazał się w „Newsweeku Historia” 12/2013)